Smutne życie zabawnego Tomasza — kulawanoga

Wczoraj umierałem po raz pierwszy. I choć umierałem naprawdę długo, ostatecznie nie umarłem.
Tak, jakbym nie mógł się zdecydować.
Może, gdyby w naszym pięknym języku istniał jedynie aspekt dokonany, wziąłbym i umarł porządnie, w całości. Może ktoś napisałby o mnie to jedno zdanie: On umarł. Dalej nie byłoby co czytać. Bo skoro umarł, to nie ma opowieści.
Wracając do aspektu niedokonanego: gdyby go nie było, może by tak wszyscy ludzie, którzy czytają książki, w końcu je przeczytali? Może człowiek, który zawsze chodzi przed siebie, bez celu, w końcu dokądś by doszedł, do kogoś zaszedł?
A tak, idzie samotnie, nie wiedząc po co i ku czemu.
Skoro jednak nie dokończyłem wczoraj mojego umierania, pozostaje mi żyć i opowiadać. I opowiedzieć.
Czasami myślę, że nikt nie traktuje mnie poważnie. Ludzie przechodzą koło mnie, spoglądając zawsze z góry, zawsze tym samym, pogardliwym wzrokiem, którego prawie nie widać spod półprzymkniętych powiek. Na swój użytek nazwałem go “lisie oczy”. A może właśnie na wskroś ludzkie, takie lisie.
Niektórzy ślinią się na mój widok, niektórym robi się niedobrze i mówią, że zbliżanie się do mnie jakoś im się nie widzi.
Doskonale pamiętam pierwszy raz, kiedy spotkałem się z odtrąceniem. To był poniedziałek. W pracy zjawiłem się punktualnie, jak zawsze świeży, z nienagannie przyciętym zarostem, wydepilowaną klatką piersiową i otwartymi ustami, jak u ryby. Zapowiadał się dobry dzień, niezbyt dużo klientów, mała grupa do przeszkolenia, a potem dom i błogie nicnierobienie.
Kiedy przyszła jej kolej, podeszła do mnie, cała w czerni, z oczami podkrążonymi, jakby spadające łzy ciążyły jej w ostatnich dniach tak bardzo, że wyciągnęły jej twarz ku ziemi, ku śmierci. Onieśmielony, wbiłem wzrok w sufit, nie miałem dużego doświadczenia z kobietami. Zamarłem w jakiejś dziwnej apatii, nie mogąc wydusić z siebie odpowiednich słów. Uklęknęła nade mną. Była bardzo blisko, czułem jej niespokojny oddech na moim czole, jej zapach. Pachniała przerażeniem, cuchnęła samotnością i zniczem. Pewnie właśnie wróciła z cmentarza. Ludzie, którzy wracają z cmentarzy zawsze pachną niepewnością. Już zaczęło robić mi się jej żal, kiedy podniosła się i zaczęła krzyczeć.
– Nie dotknę cię, brzydzę się tobą! Przypominasz mi o nim! – Rzuciła przed siebie słowami, jakby wyrzucała z rąk coś oślizgłego, coś, czego się brzydzi i chce się jak najszybciej pozbyć. Słowa upadły na ziemię, tuż obok mnie, ale wiedziałem, że zaraz zaczną pełznąć w kierunku mojego serca.
– To moja praca! Muszę jakoś zarabiać! – odkrzyknąłem, a moje oczy wciąż nieruchomo wpatrywały się w sufit. Nie usłyszała mnie. Oni nigdy nie słyszą.
– Nie wiedziałam co robić. Nie wiedziałam co ci się dzieje, tato. Przepraszam… – Czy to mnie nazwała ojcem, czy jakieś ulotne wspomnienie kazało jej wierzyć, że ma przed sobą kogoś innego ode mnie? Pamiętam, jak upadła na kolana, ciężko, zabrzmiała jak plaśnięcie grubej książki o podłogę. Po chwili na moim policzku pojawiły się pierwsze łzy. Nikt ich nie dostrzegł. Zabrałem je ze sobą i zjadłem na kolację. Smakowały wyjątkowo dobrze. Coś jak przesolona pomidorowa.

Od tego dnia, a minęły już cztery lata, każdy poniedziałek nazywam Czarną Melancholią. I dziś też tkwię w Czarnej Melancholii. A może to Czarna Melancholia tkwi we mnie.
Wczoraj zgromadził się nade mną tłum gapiów, pamiętam białe twarze zwisające z sufitu. Napływały jedna po drugiej. Najpierw pierwsza, zatroskana, tuż nade mną, początkowo biała, po chwili czerwona z wysiłku. Słabnące dłonie uciskające moją niezamieszkałą klatkę piersiową.
Kolejna twarz. Usta-usta. Śmiechy. Tykanie zegara w tle.
– Umrze wam! Szybciej, bo wam umrze! – krzyknął jakiś męski głos w tle, a białe twarze zaczęły

falować w nerwowych grymasach.
– Zabiliśmy go – szepnęła biała twarz nade mną, by po chwili dodać: – Ha.Ha. Zabiliśmy go, kurwa.
Odpowiedział jej śmiech. Szaleńczy rechot białych twarzy. I tykanie zegara w tle.
I poczułem, że zaraz zniknę, że skończył się tlen w płucach. Że nie mam płuc. Że w ogóle nigdy nie istniałem. Nagle ktoś pocałował mnie w półotwarte usta, położył zatroskane dłonie w miejscu, w którym zazwyczaj jest serce.
Ugniatał.
Uciskał.
Odliczał.
Pachniał zniczem i Czarną Melancholią. I nagle zacząłem widzieć. I byłem. A w mojej klatce piersiowej pojawiło się pierwsze uderzenie serca. Wpatrywałem się w sufit. Udawałem, że nie istnieję. Tak po prostu, z przyzwyczajenia.
A później włożyli mnie do trumny z napisem “Fantom medyczny”.
I nie dostrzegli, że choć codziennie umieram, to jeszcze żyję.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

kulawanoga, dodano 06.02.2020 08:41

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.